

Rzut na taśmę – czy zawsze fair play?

Rzut na taśmę to w biegu ostatnia szansa, by wygrać. Coś podobnego dzieje się w zdobywaniu stopni i tytułu. W tym przypadku „zawodnik”, finiszując, dokonuje owego rzutu, z wykorzystaniem obowiązujących jeszcze (kilka miesięcy) przepisów ustawy kończącej żywot, a regulującej sposób uzyskiwania stopni. Sam nieomal znalazłem się w takiej sytuacji, kiedy „nowa” ustawa o tytule i stopniach naukowych z 1990 r. nałożyła na adiunkta obowiązek robienia habilitacji w czasie określonym przez senat uczelni. Na szczęście moja wydłużyła go do lat 40 (!), ale nim to się stało, popularne było powiedzenie: „Poczekać na koniec wymaganego okresu, napisać poszerzoną pracę magisterską i upchać ją w tłumie takich samych złożonych do CK. Jest szansa, że (zapewniwszy sobie przychylną radę wydziału – o co łatwiej) przejdzie w natłoku spraw w CK”. Powtórzę, na szczęście moja uczelnia wydłużyła okres, w którym trzeba było zrobić habilitację, i to (wtedy wyśmiewane) obroniło ją przed zalewem marnych habilitacji. Znaczna część adiunktów spokojnie dożyła emerytury, wypełniając świetnie zadania, jakie z piastowania tego stanowiska wynikały.

Niestety, nie obroniła przed tym faktem zapowiedź zmiany ustawy w 2013 r. i likwidacja kolokwium habilitacyjnego. Wielu habilitantów, nie wiedząc jeszcze, jak „ułatwi” ona zdobycie upragnionego stopnia i będąc pewnym przychylności własnej rady wydziału (która powoływała recenzentów), właśnie „rzutem na taśmę” pisało w pośpiechu pracę habilitacyjną i wszczynano przewód. W zdecydowanej liczbie przypadków przewody kończyły się sukcesem. Nawet takie, kiedy negatywna recenzja (a ta bywała rzadkością) obnażała wartość pracy. A były i po-

zytywnie zatwierdzone przez radę ewidentne plagiaty, o czym pisano w „Sprawach Nauki”. Stąd chyba nie wszystkie decyzje rad wydziału z tamtego okresu przełomu zaowocowały pojawieniem się pełnowartościowego „samodzielnego” pracownika.

Kolejny „rzut na taśmę” obserwuję teraz. Kiedy do zainteresowanych dotarło, że obowiązująca jeszcze ustawa umożliwia uzyskanie habilitacji bez obowiązku zaprezentowania się przez habilitanta nadającej go radzie oraz przy wystarczającej zwykłej większości głosów „za”, w komisji wnioskującej o to, habilitacje się sypnęły. Są wprawdzie ograniczenia, bo trzeba wykazać się dorobkiem stanowiącym cykl artykułów, na który część recenzentów zwraca uwagę również od strony ilościowej, ale i na to jest rada. Pisze się na chybcika (samemu czy z mentorem) jedną pracę, którą nazywa się monografią, i wszystko w rękach recenzentów, a ci „zdarzają się” – życzliwi. (Po raz drugi przywołam artykuły ze „Spraw Nauki”). Byłe zdążyć przed czasem, kiedy, jak przewiduje *Konstytucja dla nauki*, decyzja o nadaniu stopnia i tytułu będzie w rękach senatu czy rady dyscypliny naukowej (o jakim to rozwiązaniu myślą niektórzy rektorzy), a tam już, być może, nie będzie (w przewodzie) samych swoich. Rozglądam się dookoła i widzę takie „rzutem na taśmę” wszczynane przewody doktorskie i habilitacyjne¹. I jedno, co mi przychodzi do głowy, to cytat ze wspomnień wybitnego polskiego górnika, profesora Andrzeja Lisowskiego:

„Jedną z głównych, jeśli nie główną przyczyną słabości obserwowanych w świecie nauki, jest zbyt niski poziom wielu doktoratów. Za słabymi doktoratami idą słabe habilitacje, a za nimi profesorem, którzy produkują doktorów jeszcze słabszych od siebie”².

Czy trzeba dodać: koło się zamyka!?

MACIEJ MAZURKIEWICZ
emerytowany prof. zw. AGH

¹ Oczywiście mógłbym podać przykłady, w tym z mojej byłej rady, ale nie chodzi o donos, a o pokazanie problemu, z którym, śmiem twierdzić, CK sobie nie radzi.

² A. Lisowski, *W górnictwie – czas sukcesów i klęsk. Wspomnienia osobiste z epoki wielkich przemian*, t. II, Katowice 2011.

A może rozumokracja?

Inspiracją do niniejszego wystąpienia i komentarza są ostatnie dwa zdania artykułu prof. Andrzeja Białasa pt. *Skrucha i polemika* z PAUzy Akademickiej nr 444 (4 listopada 2018). Brzmiały one: „Ale przecież nawoływanie do tego, aby wybierać i promować ludzi MĄDRYCH trudno przypisać do programu jednej ze spierających się stron. Mam nadzieję, że przynajmniej w tej sprawie wszystkie opcje polityczne mówią jednym głosem”.

Te słowa zasługują na wydobywanie na plan pierwszy i wielokrotne przypomnienie. Uważam, iż mają one, czy powinny one mieć, charakter poniekąd ustrojowy. Uzasadniłbym to następująco. Kluczowym terminem dzisiejszego dyskursu politycznego jest słowo „demokracja”. Nikt go nie kwestionuje, wszyscy chcą być demokratami, a przeciwnikom wytykają, że nie są demokratyczni. Jednak samo słowo ma niezbyt zachęcającą etymologię: demokracja to literalnie „władza ludu”! Czy ktoś z nas chciałby władzy ludu? Trzeba też przypomnieć, iż Arystoteles w swojej klasyfikacji ustrojów uznawał demokrację za zdegenerowaną formę republiki, podobnie jak tyranie – za zdegenerowaną formę monarchii. W późniejszych czasach przyjęto jednak „demokrację” z pozytywnym wydźwiękiem znaczeniowym. Wypada się tego trzymać, potrzebny jest wszakże komentarz i głębsza analiza znaczeniowa.

Rozróżnijmy demokrację „ilościową” oraz demokrację „jakościową”. W tej pierwszej głośno się tylko liczy, w tej drugiej również waży. Żeby to jednak realnie robić, potrzebni są kompetentni ludzie. Tych ludzi trzeba nie tylko wybrać, ale w pierwszej kolejności trzeba ich wyszukać w społeczeństwie. Ogólniej mówiąc, w społeczeństwie powinien permanentnie i tradycyjnie działać SELEKTOR ludzi mądrych, rozumnych. Od strony filozoficznej źródłem wskazań może być Immanuel Kant filozofia rozumu teoretycznego i praktycznego. Oczywiście nie miejsce tutaj na rozległe filozofowanie. Przede wszystkim trzeba szukać konkretnych przesłanek do budowania wspomnianego selektora ludzi rozumnych w dzisiejszym społeczeństwie polskim, żeby następnie powierzać im odpowiednie funkcje publiczne. Główna trudność polega na tym, że ludzie, o których mowa, to nie są tacy, co pchają się na ważne stanowiska, a ci, co się pchają, to nie są ci mądrzy i rozumni. Trudny problem do rozwiązania, ale próbować trzeba. Niech zdania z artykułu A. Białasa, także niniejsze dopełnienie, nie będą tylko aktem werbalnym.

Na koniec, w nawiązaniu do tytułu, może budujemy nie tyle ogólnikową demokrację, ile właśnie ROZUMOKRACJĘ (demokrację jako rozumokrację).

EUGENIUSZ SZUMAKOWICZ
Instytut Ekonomii, Socjologii i Filozofii
Politechniki Krakowskiej